

Legenda chrześcijańska
Mistrz Kopytko

Diabeł powiedział sobie, że będzie go miał. Bo dostać w swoje łapy Antoniego Kopytko, szewca z Saint-Maur-la-Pernelle, znaczyło chwycić w garść całą wieś. Zaiste, wspaniały był chłopak z tego szewczyka. Szczery, zawsze uśmiechnięty, a tak roztropny, że w Saint-Maur nie działało się nic bez jego pomocy albo bez jego zgody. To, co Antoś Kopytko mówił, było święte, to, co opowiadał – powtarzano sobie w każdej chacie, to, co robił – każdy chciał naśladować w całym Saint-Maur-la-Pernelle. A słowu Antoniego Kopytko wierzono jak Ewangeli.

Takiego chłopaka mieć w swej władzy – wyobraźcie sobie, czym by to było dla szatana. Ale chodziło właśnie o to, by go dostać w sidła, a tymczasem nie działało na Antka nic z tego, na co inni tak łatwo się łapią. Diabeł nasyłał na niego wszystkich swoich starych, wypróbowanych współników: Pychę, Chciwość, Nieczystość, Gniew, Zazdrość, Obżarstwo i Pijaństwo, no i Lenistwo. Każdy po kolei próbował. Ale na próżno.

Aż wreszcie pewnego dnia diabeł trafił na swego kuma – Stracha. Co między sobą uknuli, nikt tego nie wie. Można się tylko domyślać z tego, co nastąpiło po ich rozmowie.

Otóż któregoś sobotniego wieczoru stara Dunfrotowa, sąsiadka Antosia, przyszła do niego z prośbą:

– Antoni, nie moglibyście mi pożyczyć pół bochenka chleba na niedzielę? Zagapiłam się, a teraz piekarnia już zamknięta do poniedziałku.
– Trzeba było być przewidującą, sąsiadko. Bardzo żałuję, ale nie mogę dla was tego zrobić. Boję się, że mnie samemu nie starczy.

Kilka dni później Kopytko spotkał Mikołaja – niegdyś parobka w tej wiosce, ale ostatnio pospolitego włóczęgę. Opowiadano o nim brzydkie historie, nawet i to, że siedział w więzieniu. A teraz tenże Mikołaj błagalnym głosem zwrócił się do Kopytki:

– Słuchaj, Antosiu. Jesteś szanowany w całej okolicy. Nie pomógłbyś mi znaleźć jakiejś choćby najgorszej roboty? Zdycham z głodu.
– Zobaczę... – odpowiedział Antoś mocno strapiony. Ale w duszy pomyślał:

Ja mam się stawiać za tobą, łobuzie jeden, i narazić się może innym? O nie, takim głupim nie będę.

I naturalnie nic dla niego nie zrobił.

Za jakiś czas znów odwiedził mistrza Kopytkę jego przyjaciel z lat dziecięcych – Jan Świątek. Był on księdzem i właśnie został posłany do jednej z sąsiednich parafii.

– Antosiu – rzekł ksiądz Świątek – w naszej wsi jest dwóch szewców. To za dużo, to

jakby dwa grzyby w barszczu, a tam, gdzie idę, nie ma żadnego. Chodź ze mną i osiedź się w mojej parafii. Będzie mi rażniej z tobą. We dwójkę będziemy mogli tam zrobić dużo dobrego.

– Co ty sobie myślisz! – zawołał Kopytko. – Opuścić Saint-Maur, gdzie mam dobrą klientelę i gdzie mi jest dobrze, i przenieść się do takiej zapadłej dziury jak Vizeville? Obawiam się, że przymierałbym tam głodem.

„Boję się”, „obawiam się”, „strach mnie oblatuje na samą myśl” – tylko te słowa wciąż miał na ustach mistrz Kopytko. I odkąd tak zaczął się bać wszystkiego, wyraźna zmiana nastąpiła w jego usposobieniu. Już nikt nie widywał go śmiejącego się ani żartującego.

– Co się stało temu Antkowi – mówili do siebie ludzie.

I on sam czuł się nieraz taki smutny i nieszczęśliwy, tak zmartwiony i roztrzęsiony, że myślał niekiedy, iż to jakieś choróbko. Lekarstwa ani doktorzy nic mu nie mogli pomóc.

Pewnego dnia spotkał Antoś starego Marcina. Było to akurat w samą Wielką Sobotę wieczorem. Marcin szedł właśnie stroić kwiatami figurkę Matki Bożej stojącą na skraju wioski. Czynił to każdego roku, aby uczcić pamięć owych trzech dni, w które wszyscy poddali się rozpacz, a tylko jedna na całym świecie Matka Najświętsza zachowała w swym sercu nadzieję.

Stary Marcin lubił Antosia i ten miał do niego zaufanie. Zwierzył mu się więc ze wszystkich kłopotów i trosk, które go od pewnego czasu męczyły, dręczyły i przygniatały. Stary Marcin zastanowił się dłuższą chwilę, a potem rzekł:

– Chodź ze mną, weź płaszcz i kostur podróżny, bo czeka nas długa droga – może nie powrócimy za dnia.

– O, la Boga! – zawołał Kopytko. – Czy nie będzie to aby męczące? Boję się, że...

Ale Marcin przerwał jego lament:

– Chcesz być zdrowy czy nie?

Ton jego głosu nie dopuszczał nawet próby odmowy, więc niezwłocznie ruszyli obaj w drogę. Kopytko myślał:

Potrafię przecież zawrócić, kiedy będę miał dość dobrego.

Jednakże gdy stary Marcin złożył kwiatki przed figurką Matki Boskiej i ruszył dalej za wieś, Antoś poszedł za nim bez słowa. Zapewne działała tu modlitwa Marcina, który przesuwiał w palcach paciorki różańca, a między każdym „Zdrowaś” wzdychał:

– Panno Najświętsza, wspomóż mnie, przez Syna Twego, wspomóż mnie. Wszyscy święci niebiescy, wspomóżcie mnie!

Przyszedł wieczór, a oni jeszcze szli, noc zapadła, a oni szli i szli.

Koło północy minęli jakieś dziecko, które, choć ciężko obciążone, szło tak lekko, że nie słychać było wcale stukotu jego chodaków na kamienistej drodze.

– Cóż to za dziecko? – zdziwił się Antoś. – I gdzie ono idzie o tej porze?

– To jest pacholę z Galilei, które na prośbę Pana Jezusa dało wszystkie swoje pięć chlebów i dwie ryby, aby nakarmić rzesze na pustkowiu. I dlatego, że onego dnia nie bało się zostać na pustyni bez kawałka chleba, każdego roku roznosi po kościołach chleb na Mszę Świętą wielkanocną. A ten chleb uczyniony jest ze wszystkiego, czym ludzie dzielą się między sobą z miłości chrześcijańskiej.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o chlebie, którego odmówił swej sąsiadce.

Nieco później zobaczyli przechodzącą obok kobietę, która niosła dzban pełen wody.

– Co to za kobieta? – spytał Kopytko – i dokąd ona idzie?

Marcin odpowiedział:

– To Weronika, która niegdyś otarła twarz Skazańca idącego na Golgotę. A że nie bała się brutalności żołdaków ani wyroków sędziów, dlatego każdego roku roznosi po kościołach wodę, która ma być zmieszana z winem we Mszy Świętej wielkanocnej. A woda ta uczyniona jest ze wszystkich łez przelanych za grzechy świata.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o pomocy, której odmówił biednemu Mikołajowi.

Jeszcze później spotkali młodzieńca niosącego zapaloną lampę.

– Któż to jest? – spytał Antoś – i dokądże on idzie?

Marcin odpowiedział:

– To Jan, umiłowany uczeń Pana, który wszystko opuścił, aby iść za swoim Mistrzem. A że nie lękał się opuścić swojej rodziny, swego ojca i swego domu, dlatego każdego roku roznosi po kościołach ogień do świateł wielkanocnych. Ten ogień uczyniony jest ze wszystkich znaków miłości, jaką na świecie ludzie okazują Bogu.

Antoś nic nie odpowiedział, ale pomyślał o odmowie, jaką dał Świętkowi.

Gdy już niebo zaczynało się rozjaśniać, przybyli wreszcie do celu swej pielgrzymki – do wielkiego kamiennego krzyża stojącego na pagórku Guillguerete. Noc była niewypowiedzianie spokojna. Wszystko zdawało się być zawieszone w oczekiwaniu czegoś wielkiego. To oczekiwanie opanowało także Antosia, ale tkwiło w nim jak jakiś ból. Jakież to pragnienia go napełniały? I co znaczył ten ciężar na sercu i ta ciemność wokół?

Doszedłszy pod Bożą Mękę, zatrzymali się. I bez słowa starzec wskazał Antosiowi jakiś ciemny kształt leżący u stóp krzyża. Wyglądało to jak szmata, jak stare ubranie

zrzucone z ciała.

– Cóż to jest? – spytał szewczyk.

Marcin odpowiedział zniżonym głosem:

– To jest strach i wszystkie jego rodzaje: lęk, by nam czegoś nie zabrakło, lęk, by się nie skompromitować, bojaźń przed życiem. Widzisz – te wszystkie widma, które nas straszły, leżą teraz bezduszne, bezbronne, nieszkodliwe.

Stali tak chwilę, nic nie mówiąc. Świtało. Niebo napełniło się olśniewającym światłem. Antoś czuł, że coś się w nim dzieje. Nie śmiał prawie oddychać. Wiedział, że strach, który nosił w sobie, zginął. W promieniach wschodzącego słońca ziemia wydawała się niepojęcie świeża i piękna. Od rozbudzonych żywotnych soków pęczniała kora i pączki liści i kwiatów na drzewach.

Nigdy, nigdy jeszcze Antoś nie wyobrażał sobie nawet, żeby na świecie mogło istnieć podobne szczęście. Był to poranek wielkanocny.

